NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 12 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 29 stycznia 1921. Nr 5.

Niezwykłe samobójstwo rosyjskiego uczonego



Dr Konst. Mereżkowski pozbawia się życia z powodu bezgranicznej nędzy.

Niezwykłe samobójstwo rosyjskiego uczonego.

(Do illustracyi tytułowej).

Następstwa wojny światowej dały się odczuć całej ludzkości bez wyjątku, najdotkliwiej przecież tej jej części, która na polu pracy umysłowej zarabiać musi na kawałek chleba. Praca ta nie była nigdy należycie docenioną, w obecnych stosunkach straciła zupełnie swe znaczenie, a jej przedstawiciele znaleźli się oko w oko z widmem najskrajniejszej nędzy, schodząc do rzędu prawdziwego proletaryatu w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Nędza najskrajniejsza i śmierć głodowa, oto nagroda za lata ciężkiej pracy nad książką i naukowemi badaniami. Te warunki opłakane, w jakiej się bez swej winy znaleźli, podały też niejednemu z nich broń samobójczą do ręki.

Bardzo drastycznym ale i bardzo smutnym przykładem losu, jaki dzięki wojnie, stał się udziałem tych ludzi, jest samobójstwo rosyjskiego uczonego, Dra Konstantego Mereżkowskiego.

Dr Mereżkowski, starzec prawie już siedmdziesięcioletni, brat znanego rosyjskiego powieściopisarza, Dymitra, wybitna siła na polu botaniki i chemii i profesor fizyologii roślin na uniwersytecie petersburskim, zmuszony wypadkami wojennymi opuścić swą ojczyznę, osiadł w Genewie, gdzie dalej zajmował się naukową pracą. Na kawałek codziennego chleba pracował ciężko zarabiając niewiele wykładami w tamtejszym uniwersytecie. Ale nadeszła chwila, że dawne zapasy się wyczerpały, podeszły zaś wiek nie pozwolił na dalszą pracę. Widmo śmierci głodowej zajrzało mu naprawdę w oczy, a duma nie pozwalała na zwrócenie się do dobroczynności publicznej. W tem położeniu bez wyjścia, pozbawiony wszystkiego, oddany na pastwę losu w obcej ziemi, postanowił swe życie zakończyć samobójstwem, a dokonał go w sposób dotychczas nebywały.

W tym celu umieścił nad łóżkiem w swym pokoju, znajdującym się na poddaszu jednego z genewskich pensyonatów, rezerwuar, wypełniony mieszaniną chloroformu i innych narkotyków. Od niego prowadziła rurka do maski, używanej przy chloroformowaniu, zakończona kranem.

Gdy już wszystko należycie przygotował, położył się na łóżku, przywiązując się doń pasami płóciennymi, w obawie, aby skutkiem drgawek przedśmiertnych nie spadł z niego, co mogłoby przeszkodzić wykonaniu planu. Pozostawił wolną jedynie lewą rękę, by módz odkręcić kran i maskę nasunąć na usta...

Przed ostatecznem wykonaniem swego zamiaru pozatykał szczelnie watą wszystkie otwory drzwi i okna, aby rozchodzące się wyziewy nie zwróciły przedwcześnie uwagi domowników. Nadto za drzwi swego mieszkania zatknął list, w którym napisał krótko, ale wymownie: „Jestem za biedny, aby módz żyć, a za stary, by módz pracować. Muszę umrzeć“...

Oto bolesna skarga starca, który życie swe poświęcił nauce, a w ostatnich dniach znalazł się w położeniu gorszem stokroć od losu skrajnego nędzarza. To tragiczny los, jaki stał się udziałem wielu innych, pracujących umysłowo nie fizycznie.

W kilka godzin dopiero zauważył portyer pensyonatu list, zatknięty za drzwi mieszkania uczonego. Po przeczytaniu wyważono drzwi, ratunek przybył jednak zapóźno. Na łóżku spoczywały już zimne zwłoki ofiary losu, nie chcącej stać się ciężarem społeczeństwa, a nie mającej już sił do dalszej walki z przeciwnościami życia.



Zgon nestora polskich kompozytorów: Sp. Dr Władysław Żeleński, dyrektor krak. Konserwatoryum muzycznego.

Zgon nestora polskich kompozytorów

W dniu 23 b. m. zmarł w Krakowie najstarszy i najznakomitszy z współczesnych kompozytorów polskich. Dr Władysław Żeleński, dyrektor krakowskiego Konserwatoryum muzycznego.

Charakterystykę Zmarłego i Jego obywatelskiej i artystycznej działalności kreśli w krakowskim „Czasie“ St. Tomkowicz w sposób następujący:

Kraków stracił jednego z najbardziej zasłużonych obywateli swoich. Polsce ubył wielki artysta, jeden z tych, którzy wysoce przyczynili się do uświetnienia imienia polskiego i do podniesienia poziomu kulturalnego u nas. W nocy z soboty na niedzielę zgasł po krótkiej chorobie Władysław Żeleński. Przeżył lat 84, a jednak wiadomość o jego śmierci zastała nas nieprzygotowanych. Była w nim żywotność niespożyta, jakaś dziwna młodość wrażliwości, temperametu i uczuć. Zdawało się, że starość straciła nad nim moc swoją. Do ostatka czynnym był, jako dyrektor Konserwatoryum muzycznego krakowskiego.

Kraków szczycił się nim i miał do tego niejeden powód. Był to w jednej osobie i znakomity artysta i człowiek wyjątkowej prawości charakteru, dziecięcej czystości intencyj, bezinteresowności, niemal graniczącej z naiwnością, i gorący patryota. Kiedy przed niezwykle uzdolnionym i niezwykle wykształconym młodzieńcem, znanym już za granicą, otwierała się karyera na szerokim świecie — on postanowił poświęcić się Ojczyźnie, pracować w kraju. Objął posadę w Konserwatoryum warszawskiem, aby po kilku latach przenieść się do ukochanego Krakowa, z którym łączyły go tradycye rodzinne, a z pewnością i nieprzeparty urok wspomnień historycznych. Tu przez lat kilkadziesiąt, jako dyrektor Konserwatoryum, założonego przez Towarzystwo muzyczne, kierował tą instytucyą, oddał jej swoje siły i zdolności, nadał jej markę i firmę i stał się jej filarem i chlubą.

Czynność pedagogiczna pociągała go i miała dlań urok nie mały, który usprawiedliwiały wyniki. Wszak uczniami jego byli znakomici muzycy, których cały szereg zasłynął na horyzoncie światowym, a trudno wyliczyć tych wielu, którzy w Polsce zajęli poczesne stanowiska.

Pedagogia, której oddawał się z zamiłowaniem, nie przeszkadzała jednak działalności twórczej. I podziwiać trzeba, skąd Żeleński brał czas, siły i swobodę duchową, by wśród mozolnej pracy nauczycielskiej i w niełatwych często warunkach materyalnych módz pracować na polu kompozytorskiem i tworzyć nietylko obficie, niezmiernie wiele, ale takie wspaniałe opery, jak Konrad Wallenrod, Goplana, Stara Baśń, Janek i t. p.

Był wiernym synem Ojczyzny. Dowodem tego cały pełen wyrzeczeń żywot jego, byle tylko granic jej nie opuścić. Dowodem i to, że nie było obchodu narodowego, któryby go nie zapalił i nie natchnął do napisania kompozycyi, tej uroczystości poświęconej, a wiele z tych utworów okolicznościowych posiada trwałą wewnętrzną wartość, bo dusza i natura nawskroś artystyczna, na wszystkiem, czego się imała, wycisnęła piętno swoje. Wypadki współczesne, zmartwychwstanie Polski, żywo go przejmowały, i jeszcze w ostatnim tygodniu przed śmiercią napisał dziarskiego marsza- pobudkę dla wojska polskiego.

Po Szopenie, a obok Moniuszki, był on zapewne największym z dotychczasowych kompozytorów polskich. Budował swoje dzieła na podstawach, zaczerpniętych z dalszej i bliższej przeszłości. Jakkolwiek odbił się na jego utworach niejeden z kierunków i prądów, które się zaznaczyły w muzyce światowej XIX. w., we wszystkich dziełach swoich Żeleński pozostał sobą, na wszystkich wycisnął piętno swej silnej i tak wybitnie polskiej indywidualności. A można śmiało powiedzieć, że na jakiekolwiekby drogi weszła muzyka polska w przyszłości, pieśni Żeleńskiego nie prędko zejdą z programów koncertowych i długo będą stanowić rozkosz znawców, będą ulubionemi w muzykalnych domach naszych. Już przed kilkunastu laty Kraków uczcił Żeleńskiego, ofiarując mu godność obywatelstwa honorowego, pogrzeb jego był również wyrazem hołdu jaki społeczeństwo polskie złożyło znakomitemu kompozytorowi i zasłużonemu obywatelowi.

Cześć Jego pamięci!



Polonia amerykańska dla Macierzy: Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod Obelisk w Toruniu. Stoją od lewej ku prawej: 1) Zastępca naczelnika Państwa jen. Rozwadowski. 2) Kardynał Dalbor. 3) Jenerał Haller, 4) Wojewoda pomorski Brejski. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Polonia amerykańska dla Macierzy.

Stary polski nadwiślański gród, Toruń, miał do niedawna za zadanie stanowić punkt wyjścia i podstawę postępu naporu germańskiego ku Wschodowi. Dzięki światowej wojnie i pogromowi Niemiec wy stępuje dziś Toruń w zupełnie innej roli, stanowiąc ostoję i punkt środkowej obrony kresów pomorskich



Polonia amerykańska dla Macierzy: Jenerał Haller w otoczeniu swych byłych podkomendnych na zjeździe w Toruniu. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

przed falą germanizmu, uważającego te ziemie, jako należące niegdyś do Krzyżactwa, za kraj rdzennie niemiecki. Toruń zadaje przecież kłam temu twierdzeniu i manifestuje jasno i głośno na każdym kroku swą polskość.

Zrodził się bardzo trafny projekt, aby dzielnica ta stała się terenem pracy narodowej dla Polaków z Ameryki, którzy zamierzają powrócić do kraju, osiąść na stałe w wolnej Ojczyźnie, a majątek zyskany za Oceanem, obrócić na Jej ekonomiczne odrodzenie. Kraj stojący wysoko pod względem kulturalnym i ekonomicznym, stanie się bardzo odpowiednim terenem dla amerykańskich Polaków, a bezpośrednie sąsiedztwo morza ułatwi im komunikowanie się z byłą tymczasową ojczyzną, z którą wielu nie zechce zerwać ostatecznie wiążących ich nici.

Polacy amerykańscy, wysoko narodowo uświadomieni, przyczynią się wybitnie do podniesienia i utrwalenia ducha polskiego w tej dzielnicy, a jako ludzie wychowani w praktycznej szkole życia amerykańskiego, potrafią zastąpić dotychczasowych tutejszych gospodarzy, Niemców, i niedopuścić aby po ich emigracyi miała ta dzielnica upaść ekonomicznie.

Przygotowanie do rozpoczęcia powyższej akcyi, a zarazem niejako przeglądem sił przed rozpoczęciem kampanii, był odbyty w dniach 16—18 stycznia b. r. w Toruniu zjazd Polaków z Ameryki przebywających obecnie w Polsce.

Cel i program tego zjazdu wyjaśnia odezwa urządzającego komitetu, brzmiąca jak następuje:

Do Hallerczyków z Ameryki

zdemobilizowanych i czynnych.

Dnia 16—17—18 stycznia 1921 r. odbędzie się w Toruniu

a) obchód I. rocznicy zajęcia Torunia przez Wojska Polskie,

b) poświęcenie kamienia węgielnego pod „Obelisk Niepodległości".

c) I. Zjazd Polaków z Ameryki, którzy natenczas będą w Polsce,

d) I Zjazd Hallerczyków z Ameryki, którzy bądź zdemobilizowani bądź jeszcze czynni w Polsce pozostają,

e) Wystawa zdjęć fotograficznych i dokumentów, świadczących o dawnej i obecnej działalności Polonii Amerykańskiej na rzecz Polski. Szczegółowy program tej uroczystej trzydniówki rozesłany został do całej prasy polskiej w Europie i Ameryce.

Celem Zjazdu, naszego jest zrzeszenie się — abyśmy pomagali jeden drugiemu, wszyscy sobie i byśmy byli w możności pozostać w Polsce jako pożyteczni pracownicy.

Zjazd ten będzie ziszczeniem naszych marzeń z czasów dawnych — jak sobie wielu z nas przypomina.

Koledzy nasi — po powrocie do Ameryki — stworzyli korpus weteranów b. armii gen. Hallera z siedzibą w Chicago. I my pragniemy stworzyć taką samą instytucyę w Polsce. Będzie to niejako łącznik z dawną Bracią, która wraz z nami stanęła do apelu na głos Polski potrzebującej pomocy. Musimy nadal być z nimi w łączności, bośmy razem stanęli do pracy, która jeszcze całkowicie nie jest ukończoną. A więc Koledzy to nie zaproszenie to

ROZKAZ Z NAD WISŁY!!

Ktokolwiek z Was — po zdemobilizowaniu się — przebywa w Polsce niech przybywa na Zjazd i niech zaraz o tem doniesie, adresując:

Komitet Zjazdowy TORUŃ
Magistrat Biuro Główne,

byśmy mogli Wam przygotować odpowiednie kwatery.

Nie mamy Waszych adresów, wobec czego niechaj jeden mówi drugiemu o tem Zjeździe, albo przysyła nam adresy, które mu są znane.

Równocześnie prosimy każdego z Was:

a) o przysłanie wszelkich fotografij z czasów rekrutacyi w Ameryce, z obozów w Kanadzie, z pochodów, fotografij poszczególnych ochotników, dalej z czasów wojennych we Francyi i w Polsce aż do ostatnich czasów. Najmniejsze nawet zdjęcia są pożądane bo urządzamy stosowną wystawę. — Zwrot fotografii i pamiątek gwarantujemy.

b) każdy z Was niech przyśle bodaj krótki opis swej służby od początku do końca, a głównie niech opisze walki, w których brał udział i niech opisze pamiętne dla historyi chwile, w których nasi zginęli na polu chwały. Z tych dat i szczegółów stworzymy historyę zbrojnej odsieczy Wychodźctwa.

Opisujcie chwile wesołe, smutne, dobre i złe — wszystko potrzebne.

Piszcie jak umiecie, a komitet specyalny obrobi to należycie.

Czekamy Was z upragnieniem!

Cześć!

Zjazd, którego przebieg znają Czytelnicy z pism codziennych był bardzo uroczysty, a poruszano na nim kwestye, dla rozwoju polskości na kresach pomorskich najżywotniejsze. Wzięli w nim między innymi udział: w zastępstwie Naczelnika Państwa jenerał Rozwadowski, kardynał Dalbor, wojewoda pomorski Brejski i jenerał Haller, który był przedmiotem entuzyastycznych owacyi ze strony zjazdowców.

Ze sportu zimowego.

Niekorzystna obecna aura, odbija się ujemnie na działalności naszych towarzystw zimowo-sportowych. Brak śniegu przy wysokiej stosunkowo temperaturze panuje jednak nietylko u nas, lecz również w krajach nadbałtyckich, jak Estonia, Finlandya a nawet w Skandynawii. Według zapowiedzi stacyi meteorologicznych, warunki te atmosferyczne mają się w drugiej połowie stycznia zmienić na korzyść sportowców zimowych.

Śnieg tatrzański, który w czasie świąt Bożego Narodzenia szybko zaczął ginąć, pozwolił jednak na odbycie dwóch kursów narciarskich, z których jeden Akademickiego Związku Sportowego, liczący około 30 osób rozpoczął się po świętach drugi, sześciodniowy, urządzony przez Tatrzańskie Tow. Narciarzy, zgromadził w dniu 25 grudnia u. r. niebywałą ilość uczestników w liczbie 157 osób (w tem 38 pań). Do frekwencyi kursu tego, przyczyniła się doskonała organizacya kursu, oraz ulgi kolejowe, noclegi i narty do wypożyczania, jakie Tatrzańskie Tow. Narciarzy uczestnikom kursu zapewniło. — Osobnym wagonem przybyło z Warszawy 57 osób, z Krakowa 66, w Zakopanem zgłosiło się ponadto 34 osób.

Pożar domu wycieczkowego (Tow. Krajoznawczego) w Zakopanem stanowi niepowetowaną stratę tak dla turystyki, jak również dla rozwoju sportów zimowych w Zakopanem. Dom ten dając po niesłychanie niskiej cenie noclegi dla niezamożnej młodzieży,



Polonia amerykańska dla Macierzy: Chór wychowanic Seminaryum nauczycielskiego z Mińska Mazowieckiego, przybyłych na zjazd w Toruniu. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

umożliwiał krzewienie nad wyraz zdrowych sportów naśnieżnych, przyczyniających się w wielkiej mierze do spotęgowania tężyzny w naszem społeczeństwie. Jest rzeczą konieczną, aby społeczeństwo nasze, akcyę odbudowy schroniska, będącą w toku, najwydatniej materyalnie poparło.

W czasie od 27 do 29 grudnia u. r. obradował w Zakopanem Walny Zjazd Delegatów towarzystw narciarskich. W ożywionej dyskusyi poruszano szereg spraw związanych ze wzmożeniem rozwoju narciarstwa w Polsce.

Rozkrzewienie znajomości jazdy na nartach wśród najszerszych sfer naszego społeczeństwa, stanowi poniekąd konieczność państwową, dyktowaną względami wojskowemi. Z faktem tym powinny się liczyć nasze władze i odpowiednio popierać działalność towarzystw narciarskich.

Nowy Zarząd Polskiego Związku Narciarskiego, wybrany na Waln. Zjeździe Delegatów składa się: z prezesa inż. A. Bobkowskiego, wiceprez. prof. Dra Z. Klemensiewicza (Lwów) i ppor. Dra M. Swierza, (Zakopane), sekretarza prof. J. Grabowskiego, skarbnika kpt. Z Drozdowskiego oraz pp. prof. Chełmińskiego i Dra T. Czażowskiego.

Siedzibę Zarządu P. Z N. przeniesiono z Zakopanego do Warszawy, gdzie przebywa pięciu członków Zarządu. Do komisyi szkontrującej wybrano pp. St. Forenza, Dra A. Kroebla i por. Z. Ritterschilda.

Sekretaryat Polsk. Związku Narciarskiego mieści się przy oddziale Narciarskim Warsz. Tow. Łyżwiarskiego, ul. Szopena 5, tel. 6600.

Główne Związkowe Zawody narciarskie powierzył Zarząd P. Z N. urządzić w bieżącym sezonie Tatrzańskiemu Tow. Narciarzy. — Zawody te odbędą się w Tatrach koło Zakopanego, z końcem marca, w czasie świąt Wielkanocnych. Mistrzostwo Polski na nartach, przyznane zostanie za najlepszy wynik w biegu i skoku.

Główne światowe zawody narciarskie odbędą się w Norwegii w czasie od 17 do 22 lutego b. r. Główne biegi wynoszą: jeden 50 km., drugi zaś 30 km. (15 km. w spadku). Zawody w skoku odbędą się na skoczni w Holmenkollen, koło Krystyanii w dniu 21 lutego b. r. Zawody te mają rzekomo również obesłać Czesi. Wiadomość ta jest bardzo prawdopodobną skoro się zważy, że Czesi jeszcze przed wojną mieli poważnych przedstawicieli na rozgrywanych mistrzostwach austryackich. Jeżeli już Polacy nie wezmą czynnego udziału w zawodach tych, to jednak byłoby rzeczą konieczną delegowanie na ten światowy zjazd narciarski oficyalnych przedstawicieli Polsk. Związku Narciarskiego, którzyby zaznajomili się szczegółowo ze stanem dzisiejszego narciarstwa i nawiązali stosunki z zagranicą, tembardziej, że na zjeździe tym ma być postawiony termin i miejsce przyszłego światowego kongresu narciarskiego. *Bob.*

Nożowcy krakowscy przy robocie.

Do ilustracyi na stronie 11.

Jeszcze nie ustały rozmowy na temat zamordowania Chwałkówny i samobójstwa Laski, bandyci, którzy napadli na sklep Zahnów nie dostali się dotąd w ręce sprawiedliwości, a już, w niespełna tydzień po ostatniem zajściu, mamy do zanotowania nowy wypadek morderstwa, czy zabójstwa, który zaszedł w Krakowie w ubiegłym tygodniu.

Jak na Kraków i na jeden miesiąc, podobnie sensacyjnych wypadków trochę może zawiele.

Według relacyi krakowskich pism codziennych sprawa ta przedstawia się w sposób następujący:

Krytycznej nocy miała wybuchnąć pomiędzy osobami wychodzącemi z szynku Lamensdorfa przy ul. Lubicz, za wiaduktem kolejowym, sprzeczka, która przemieniła się w bójkę na noże. Udział w niej mieli wziąć cywilni i wojskowi, a powodem miały być kobiety lekkiego pochodzenia. Bójka przybrała groźny charakter, interweniowało Pogotowie Tow. ratunkowego, które dwu poranionym udzieliło doraźnej pomocy.

Koło godziny 3 w nocy jeden z kolejarzy, powracający ze służby, zauważył na schodkach, prowadzących do kina Lubicz, leżącego bez życia człowieka. Zaalarmował on policyę. Okazało się, że leżący mężczyzna już od kilku godzin nie żyje. W jednej ręce trzymał zamordowany jakiś list, a koło niego leżała masa papierów i listów. Stwierdzono dalej, że otrzymał on 11 ran, między innemi trzy rany śmiertelne, w szyję, w serce i brzuch, prócz tego miał zupełnie posieczaną lewą dłoń, oraz pogruchotane kości przedramienia i ramienia, także u lewej ręki. Był to mężczyzna, liczący około 30 lat, ubrany w bluzę wojskową. Z wyglądu poznać było można, że jest rzemieślnikiem. Przy zmarłym nie było żadnego dokumentu, na mocy którego możnaby stwierdzić jego identyczność. Zwłoki odstawiono do zakładu medycyny sądowej.

Według zapisków Tow. ratunkowego, które opatrywało uczestników walki ulicznej na noże, w bójce przy ul. Lubicz, ranni byli następujący „bojownicy": Michał Lendyszyn, Władysław Lakiewicz i Henryk Heuman. Lendyszyn jest ranny najciężej. Otrzymał on ranę w klatkę piersiową. Zabity nazywa się Władysław Kuternoga, czeladnik szewski.

Komunikat Dyrekcyi policyi o po wyższym wypadku brzmi jak następuje:

„Onegdajszej nocy powstała na ul. Lubicz za wiaduktem kolejowym koło szynku Lamensdorfa sprzeczka pomiędzy kilkoma robotnikami. Sprzeczka przemieniła się w bójkę na noże, podczas której osobnik otrzymał 11 pchnięć nożem. Pogotowie zawezwane na miejsce bójki przewiozło rannego do szpitala św. Łazarza, gdzie po chwili zmarł. Aresztowano jednego z uczestników tej bójki w osobie Władysława Laka, lat 32. Za dalszymi uczestnikami bójki prowadzi policya dochodzenia.

Informacye pism naszych i komunikat policyi stoją za sobą w pewnej sprzeczności, faktem jest przecież, że ofiarą zajścia padło życie ludzkie.

Podobiznę zamordowanego, według fotografii sporządzonej przez fotografa Okręgowego Urzędu Śledczego, podajemy w niniejszym numerze.



Ze sportu zimowego: Kurs narciarski Tatrzańskiego Tow. Narciarzy. — Ćwiczenia w szachownicy.



Ze sportu zimowego: Kurs narciarski Tatrzańskiego Tow. Narciarzy. — Wymarsz na ćwiczenia.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

I.

— Ona jeszcze płakać będzie. Kobiety są skore do płaczu — mruknął gniewnie Markus Henner.

— Biedna kobieta — wyrzekł mimowoli Lewi.

— Żałujesz ją? Żałujesz? — zawołał ze złością Henner, powstając.

Lewi zamilkł i spuścił oczy.

— Wynoś się! — rozkazał doktór.

— Niech pan mi wybacy — szepnął pokornie służący.

— Wynoś się!

— Nikt nie kocha tej nieszczęśliwej kobiety — szepnął Lewi.

— Wyjdź! — zawołał doktór.

Powiernik wyszedł, nie odważywszy się już rzucić słowa.

Markus Henner pozostał sam pogrążony w rozmyślaniach. Myśli te musiały być bardzo ciężkie i szczególne, bo twarz jego mieniła się pod ich wpływem, zmieniając co chwila wyraz. Powstał wkońcu, podszedł do jednej z szaf i wyjął grubą księgę, oprawioną w pergamin. Położył ją na pulpicie na wysokości swojego ułomnego ciała i otworzył. Stojąc tak, przerzucił i przeczytał kilka stronic, zamyślając się coraz więcej.

Po jakimś czasie porzucił księgę i powrócił do biurka. Ze szkatułki, ukrytej w ścianie tak dobrze jak drzwiczki małe, któremi wszedł służący, wyjął ćwiartkę pergaminu żółtą, małą flaszeczkę, napełnioną czerwonym płynem i niewielki pendzel. Poczem powoli zaczynając od końca ćwiartki z lewej strony ku prawej pisać zaczął, a właściwie kreślić pendzlem różne znaki.

Cała jego uwaga skoncentrowała się na tej czynności. Od czasu do czasu maczał pendzel w płynie, który miał wygląd świeżej, rozpuszczonej krwi.

Zapukano lekko do drzwi gabinetu.

— Proszę wejść — zawołał Markus Henner, nie odwracając głowy od ćwiartki pergaminu.

Wszedł młody służący w liberyi.

— Czego chcesz Johnie?

— Pacyenci czekają Ekscelencyo — czekają już oddawna.

— Nie chcę nikogo dziś widzieć.

— Jednakże — zauważył służący. — Ekscelencya sam niektórym naznaczył godzinę widzenia.

To prawda. Odpraw ich wszystkich.

— Ekscelencyo...

— Co jeszcze?

— Jest ta biedna pani... mistress Jackson, ta biedna kobieta, tak młoda, tak piękna i taka chora.

— Nie do wyleczenia — rzucił Marcus Henner pochylając znowu głowę nad pergaminem.

— Nawet dla Ekcelencyi?

— Nawet dla mnie?

— Ekscelencya może uczynić wszystko...

— Suchoty są silniejsze odemnie.

— Pan nie jest lekarzem zwyczajnym, Ekscelencyo — szepnął służący patrząc z uwielbieniem na swojego pana.

— To prawda, ale nie mogę uzdrowić tej kobiety Johnie.

— Biedna kobieta!

— Tak się nią interesujesz?

— To moja kuzynka...

— Jesteś w niej zakochany?

— Nie Ekscelencyo, ale kocham ją jak siostrę. Niech ją pan wpuści, błagam o to!

— Po co?

— Ona wierzy tak mocno, przekonana jest, że tylko Ekscelencya uleczyć ją może. Będzie to naprawdę uczynek miłosierny.

— Czy mogę ją oszukiwać?

— To będzie z dobrego serca Ekscelencyo.

— Dobrze już... wpuść ją Johnie.

— A tamtych?

— Odpraw wszystkich.

— Nawet lorda Hicksbury?

— Nawet jego.

— Nawet lady Blackwood?

— Tak, nawet ją. Wpuść tylko mistress Jackson, skoro jest twoją protegowaną.

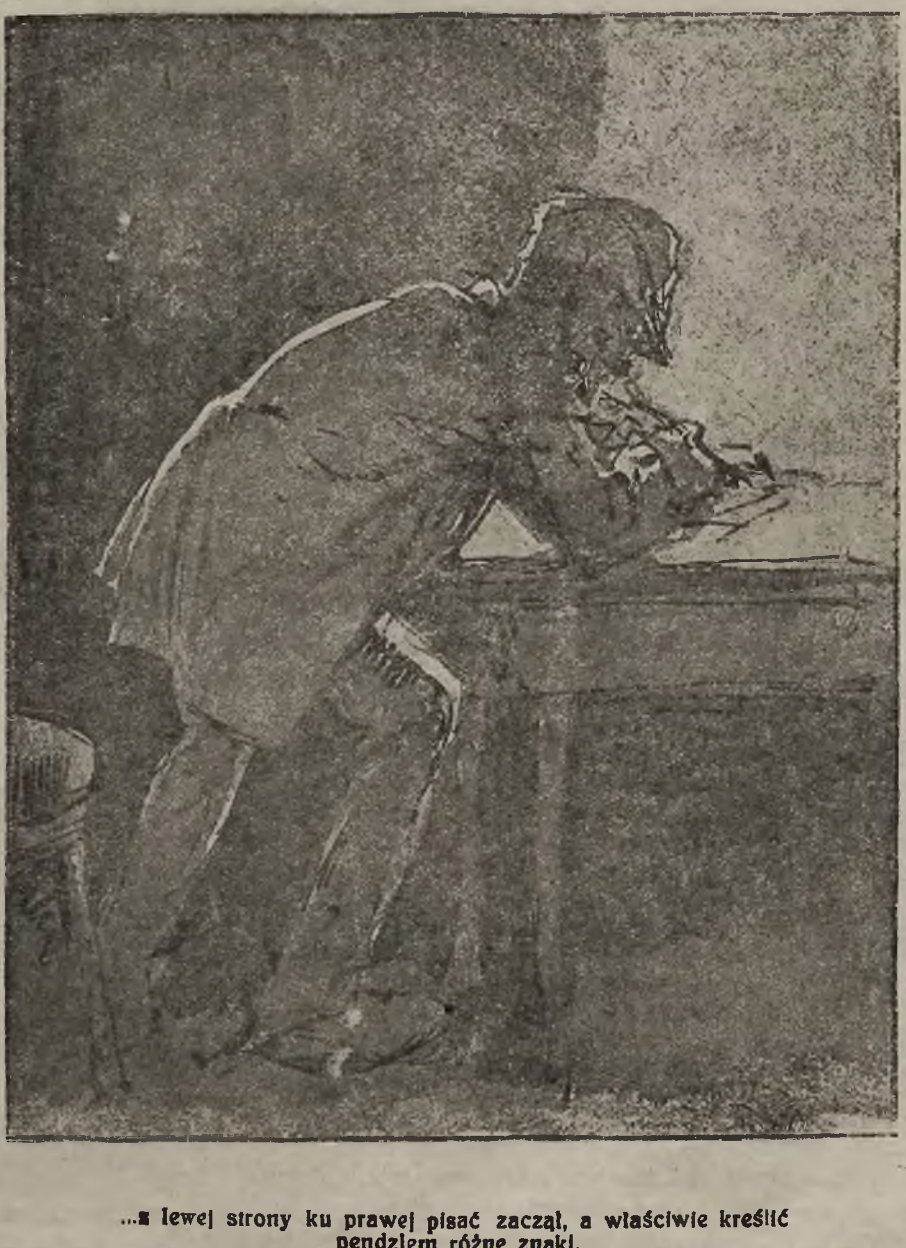
— Niech Ekscelencya żąda mojego życia, a oddam je chętnie — zawołał z zapałem służący...

— Może i to kiedyś stać się Johnie — odparł poważnie Marcus Henner powracając do swojego pergaminu. Musiał mieć jeszcze coś ważnego do skreślenia, bo kiedy po chwili zapukano do drzwi, nie podniósł nawet głowy.

John powrócił prowadząc za sobą młodą kobietę, ubraną bardzo skromnie.

Usiadła na krześle zmęczona i wyczerpana. Twarz jej była tak blada, że pod delikatną skórą, znaczyły się wyraźnie cienkie niebieskie żyłki, skupione na szyji i koło ust.

W twarzy tej marmurowej jaśniały olbrzymie oczy, o wyrazie przedziwnie dziecięcym i naiwnym. Cała jej postać szczupła i wiotka miała misterny wdzięk zamierającej rośliny.



...z lewej strony ku prawej pisać zaczął, a właściwie kreślić pendzlem różne znaki.

John wchodząc, ruchem ręki nakazał jej milczenie nie śmiejąc przerwać pracy swojego pana. Czekali więc oboje cierpliwie, aż Marcus Henner zechce na nich zwrócić uwagę. Tymczasem on skreślał jeszcze kilka wierszy, przeczekał aż wyschły i w końcu złożył starannie pergamin do dużego skórzanego portfelu, który zamknął na kluczyk, poczem podniósł głowę.

— No i cóż tam, mistress Jackson? — zapytał życzliwie.

— Panie Henner — zaczęła młoda kobieta słabym głosem, w którym ujawniła się widocznie silna piersiowa choroba.

— Czy pani nie czuje się lepiej?

— Niestety!

— Czy miała pani jakie nowe objawy?

— Żadnych, ale chora jestem, doktorze, bardzo chora.

— Niech się pani nie przejmuje. Stan pani zdrowia jest o wiele lepszy.

— Doktorze, ja umrę wkrótce, jeżeli pan nie przyjdzie mi z pomocą — wyrzekła głosem cokolwiek silniejszym.

— Nie umrze pani, a ja nic więcej uczynić nie mogę — odpowiedział Marcus Henner, patrząc na nią bystro, jak gdyby chciał uśpić jej niepokój.

— Umrę, jeżeli pan nie przyjdzie mi z pomocą — powtórzyła z uporem właściwym chorym.

— Czego pani żąda odemnie, mistress Jackson? zapytał doktór.

— Ja chcę żyć jeszcze.

— Pani jest młoda, żyć jeszcze możesz długie lata.

— Ja muszę żyć doktorze.

— Czy ma pani liczną rodzinę?

— Nie, mam tylko męża.

— Dzieci, nie?

— Nie, dzieci niemam. Zmarłyby na suchoty tak, jak ich matka. Oh! nie! nie! Nie chcę mieć dzieci! Za nic w świecie nie chciałabym aby przeszły przez takie tortury jak ja! Ale ja chcę żyć dla niego!

— Dla kogo?

— Dla mojego męża, Emila Jacksona.

— Kocha go więc pani tak bardzo?

— Oh! doktorze, uwielbiam go!

— A on czy także panią kocha?

— Oh! tak! — słowa te wymówiła młoda kobiet z namiętnem przekonaniem i radością.

— Czy to możliwe ażebyście się do tego stopnia kochali? — uśmiechnął się ironicznie Marcus Henner.

— Oh! tak! skoro tak jest jak mówię. Gdyby pan doktór nas znał bliżej, uwierzyćby musiał.

— A więc jest miłość na świecie? szepnął cicho Marcus, patrząc z natężeniem przed siebie.

— Jest! jest! doktorze. Pan w to nie wierzy? zapytała chora silnie podniecona.

— Nie.

— Pan nie był nigdy kochanym?

— Nigdy! — rzucił ostro.

— Czy to możliwe! Pan taki zacny, utalentowany człowiek! Pan? sławny doktór. - Wielki uczony!

— Nigdy! nigdy! — powtórzył opuszczając głowę na piersi.

Kobiety są bez serca — szepnęła Eliza Jackson.

— Jestem brzydki, jestem ułomny — wyrzekł smutnym głosem Marcus Henner.

— To nic! jest pan dobroczyńcą ludzkości, jest pan Mistrzem naszym! Ah! ratuj mnie pan, błagam, zawołała mistress Jackson ze łzami w oczach.

— Droga pani Elizo, u pani więcej wyobraźnia jest niż ciało — odparł doktór powstając i podchodząc do niej.

— Niech pan uzdrowi moją wyobraźnię, a zdrowa będę szepnęła cicho.

— Trzeba ciągle myśleć o tem, że nic pani nie brakuje, że jest pani zupełnie zdrową, trzeba myśleć, że jest pani młodą i ładną kobietą i że chce pani żyć dla swojego męża, dla Emila Jackson — wymówił głębokim, przekonywującym głosem Marcus Henner.

Ujął teraz obydwie dłonie młodej kobiety i ściskał je w swoich długo i w milczeniu.

Eliza Jackson powoli zamknęła oczy, jakgdyby zasnąć miała, lecz po chwili otworzyła je znowu. Źrenice jej tonęły w mgle łzawej.

— Jak się pani czuje teraz? — szepnął jej do ucha Marcus Henner.

— Lepiej — odszepnęła opuszczając powieki ciężkie.

— Czy pani wierzy, iż jest uzdrowiona? pytał dalej Marcus, głosem cichym i rozkazującym.

Szczególny wyraz odbił się na twarzy młodej kobiety. Zdawało się, że część jej istnienia przyjmowała chętnie słowa doktora, podczas gdy druga opierała mu się silnie. Nie odpowiedziała jednak tylko bolesne drżenie przebiegało raz po raz całą jej postacią.

Wtedy doktór usiadł naprzeciwko niej opierając kolana o jej nogi i wpatrywał się w nią dalej szklistem, przenikliwem spojrzeniem, dotykając od czasu do czasu kościstymi palcami jej skroni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

30 I.

— Widać, że mało, — odparła niecierpliwie Kazia — bo taka Wikta sobie pozwala i innych przeciwko nam buntuje. Nie uważała mama, że te panie z Podola, te obywatelki, to ciągle na nas nosami kręcą?

— Ale i na Szulców także — pocieszyła ją Gawlikowa — i na tych kupców z Warszawy i na tę grubą restauratorkę z córkami. Zawsze się osobno trzymają i mało do kogo usta otworzą.

— Trzeba im zaimponować, to zaraz rozmawiać będą. Musimy koniecznie coś obmyśleć — kłopotała się Kazia. — A możeby wieczorek jaki wyprawić naszym kosztem? Tylko nie wiem, czy to się robi w wielkim świecie? Możnaby sprowadzić jakiego koncertanta, czy śpiewaczkę? Jak mama myśli?

— Dobrze, moja Kaziu, zrobimy, jak zechcesz — zgodziła się chętnie Gawlikowa. — Wieczorem po kolacyi obszerniej o tem pogadamy. Możemy się poradzić Markiewicza, on już należy tak jak do naszej rodziny, a właśnie ma wieczornym pociągiem przyjechać.

Dochodziły już do pensyonatu, więc Kazia prędko przywołała na usta miły uśmiech, aby nie wzbudzić złym humorem żadnych podejrzeń i uwag gości, wypoczywających na werandzie.

Po kolacyi dopiero Gawlikowa zabrała do swojego mieszkania Markiewicza i konferencya na temat wyprawienia wieczorku w głównej sali hotelowej rozpoczęła się na dobre. Markiewicz, chociaż w duszy wyśmiewał się ze swojej przyszłej teściowej, zaczął gorliwie pochwalać plan Kazi i jej matki, chcąc do ślubu ze Stasią utrzymać z niemi jak najlepszy stosunek. A przytem dlaczego nie miałby się zabawić ich kosztem?

— Trzeba tylko przed rozpoczęciem jakichkolwiek przygotowań rozmówić się z właścicielką pensyonatu i zapytać, czy zgodzi się na coś podobnego, to jest konieczne — twierdził z przekonaniem człowieka, któremu znane są wszystkie formy światowe.

— Miałaby może odmówić — co? — żachnęła się Kazia. — Za nasze pieniądze goście jej zabawią się i dostaną porządną kolacyę, nie taką chyba, jaką nas raczy codziennie. Przecież to dla niej niespodziewana gratka!

— Przypuszczam też, że chętnie przychyli się do tego planu, ale wypada ją o zdanie zapytać. Nie wypada rozporządzać się jej domem bez jej aprobaty — opierał się przy swojem Markiewicz z miną wielkiej ważności i powagi.

Pewność ta zaimponowała widać Kazi, bo uśmiechnęła się uprzejmie i rzekła:

— Ależ tak, tak, we wszystkiem posłuchamy rad pana, panie Markiewicz. Wiemy przecież, że się pan zna jak mało kto na podobnych sprawach.

Markiewicz więc miał wziąć sam na siebie wszelkie przedwstępne kroki przygotowawcze, Gawlikowa zaś miała pomówić z właścicielką pensyonatu. W Kazię od tej chwili wstąpiła nowa energia i nadzieja. Z dumą i zadowoleniem patrzała dnia następnego przy obiedzie na Wiktę, szepczącą coś zawzięcie z matką.

Wieść o mającym nastąpić wieczorku, którego głównemi aranżerkami były Gawlikowa z córkami, prędko rozeszła się wśród gości hotelu „Stamary", wywołując różne komentarze.

— Chcą nas teraz olśnić tem wystąpieniem — mówiła Wikta do matki, — bo nie mają już niczem innem. Ale i to im nic nie pomoże, wszyscy wiedzą, co to za jedne. Ten głupi hrabia Gucio daje się tylko brać na plewy, ale i on da nura, jak się przekona, że pieniądze papy Gawlika nie bardzo pewne. Nie takiemu głupcowi brać się z paroma tysiącami do interesów.

Panie zaś z lepszego towarzystwa, których niewiele znajdowało się w pensyonacie, uśmiechały się tylko dyskretnie i z politowaniem.

— Biedne kobiety, — mówiły pomiędzy sobą — ośmieszają się tylko niepotrzebnie. Ani wieczorek, ani toalety od najlepszego krawca nic nie pomogą. Pozostaną zawsze tem, czem były dotąd.

Zaraz na drugi dzień po ułożeniu głównego planu, Markiewicz powrócił do Krakowa, aby tam zjednać sobie jedną z wybitniejszych półgwiazd, występujących w operetce, która miała być główną atrakcyą projektowanego wieczoru.

Czuł się bardzo zadowolony, iż obarczono go tem zleceniem, bo dawało mu to sposobność zajrzenia za kulisy teatrzyku, w którym występowała właśnie w balecie dosyć ładna, zgrabna dziewczyna, której ponętne kształty silne na nim uczyniły wrażenie.

— Bodajby się tacy Gawlikowie na kamieniu rodzili — śmiał się sam do siebie, wygodnie rozparty w wagonie pierwszej klasy pociągu wiozącego go do Krakowa. — Ułatwiają mi jeszcze utrwalenie znajomości z tą szampańską Ziutką! Poczciwi ludziska, muszę namówić starego, żeby dołożył coś więcej jeszcze do obiecanego posagu. Pewniejszy on u mnie, niż u niego, a jak go ten zbankrutowany hrabia skubać zacznie, to gotów mnie niewiele zostawić.



Stasia zaś dnia tego wyjątkowo była w dobrym humorze.

Wieczór więc, dzięki hojności Gawlikowej i szerszym zabiegom Markiewicza, zapowiadał się doskonale.

Program miał być obfity i urozmaicony dostatecznie. Sprowadzony umyślnie na ten cel znany humorysta krakowski, miał zabawić gości swojemi dowcipnemi satyrami i kupletami. Operetkowa diva uraczyć ich miała kilkoma piosenkami, resztę zaś wieczoru obiecał wypełnić młody, bardzo zdolny skrzypek, bawiący w Zakopanem dla wypoczynku.

Gawlikowa postanowiła za namową Kazi główny ster usługi powierzyć na ten dzień staremu Franciszkowi, któremu zaufać mogła w zupełności i zatelegrafować do niego, aby zamówił kilka tortów w cukierni. Po koncercie miały się odbyć tańce w niewielkiem kółku.

Nie wiedziała tylko o tem Gawlikowa, że wiele pań, a pomiędzy niemi Szulcowa z Wiktą, nosiły się z zamiarem nieprzyjęcia zaproszenia i nawet zamierzały na ten dzień urządzić dalszą wycieczkę w góry.

XI.

Nadszedł nareszcie dzień wyznaczony na koncert. Franciszek na dzień przedtem zjechał z Krakowa z zamówionymi tortami i kręcił się po willi z miną jakąś bardzo zafrasowaną i niechętną, odpowiadając monosylabami na zapytania Gawlikowej i Kazi.

Kiedy ze Stasią układał bukiety z kwiatów przyniesionych od miejscowego ogrodnika, raz po raz wzdychał i przecierał okulary, co było u niego oznaką silnego zdenerwowania i niezadowolenia.

Stasia zaś wyjątkowo dnia tego była w dobrym humorze i chętnie ofiarowała się z pomocą w przygotowaniach. Ranna poczta przyniosła jej dwa wcale nieoczekiwane listy. Jeden od Felki Kuźmianki, w którym donosiła, że w następną niedzielę wybiera się wraz z bratem na dwudniową wycieczkę do Zakopanego, drugi od wujka Grodzickiego. Nad tym drugim listem Stasia nie mało się zastanawiała.

— Przewidywania moje sprawdzają się dziecko moje — pisał Grodzicki — prędzej niż przypuszczałem. Sprawa twoja na najlepszej drodze. Pamiętasz jak cię upominałem, abyś była cierpliwą i zdała się na los szczęścia. Wierz mi, że w sprawiedliwość losu nigdy się wątpić nie powinno. Na każdą rzecz uczciwą i dobrą musi nadejść swoja godzina. Nic pytaj wiele, tylko wiedz, że zbliża się chwila, w której zostaniesz żoną Franka. Wierzysz chyba, że nie chciałbym cię napróżno łudzić, więc nie martw się moje dziecko, tylko bądź dobrej myśli. A może tyś zapomniała już o Franku? Może ci pobyt w Zakopanem w pięknej willi, pośród ludzi bogatych, myślących tylko o wygodzie i zabawie także w głowie zawrócił? Ale nie sądzę. Nie wyobrażam sobie, znając cię tak, jak cię znam, abyś przejęła się takiem życiem i skłoniła się do tego zarozumialca i karyerowicza Markiewicza, kiedy wiesz, że jesteś kochaną przez zacnego i pracowitego chłopca. Matce i Kazi nie mów o tym liście.

Słowa Grodzickiego nadeszły w samą porę.

Stasia, która już od paru tygodni nie miała żadnych wiadomości od Felka i jej brata, zaczęła się coraz więcej poddawać smutnym i beznadziejnym myślom.

Teraz, kiedy matka i Kazia kontrolowały każden jej krok i słowa, kiedy Markiewicz, coraz częściej przyjeżdżał z Krakowa i w natarczywy wprost sposób narzucał swoje względy i osobę, niewiedziała w jaki sposób zakończy się to wszystko, jakiego wybiegu szukać, aby zrzucić z siebie tę uporną i ciążącą czynność rodziny zagrażającą jej osobistej wolności.

Miała nawet żal do Grodzickiego, że kategorycznie nie wystąpił wobec rodziców w jej obronie, pozwolił na jej wyjazd do Zakopanego i jako jedyną radę dał cierpliwość i wytrwałość.

Przecież ona była aż nadto cierpliwa i nawet tę cierpliwość uważała jako rodzaj zdrady wobec Franka, który jej tak wierzył bezgranicznie.

Czy nie lepiej było raz zebrać się na odwagę i wyznać całą prawdę? Powiedzieć matce, że nigdy żoną Markiewicza nie zostanie, a jemu dać do zrozumienia żeby się napróżno nie łudził i nie kompromitował jej ciągłem nadskakiwaniem, bo przecież wszyscy w pensyonacie uważają go już za jej zdeklarowanego narzeczonego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staszewskiej.

TOM I.

12

Wyjął z kieszeni mały, srebrny scyzoryk i odciął różowy kawałek, wziął go w swe brunatne palce i podał Mrs. Armine, która patrzała na niego z głęboką uwagą, uwagą, którą ma kobieta dla najlżejszych ruchów mężczyzny, do którego czuje silny pociąg fizyczny. Wzięła galaretę i podniosła ją do ust; jedząc zamknęła oczy.

— A teraz proszę mi powiedzieć czy pan ma projekt co do Lonlii? — rzekła.

Wyraz jego twarzy kiedy na nią patrzał, odmawiał odpowiedzi, lecz nie zaprzeczał.

— Trzeba żyć dniem dzisiejszym — rzekł — i nie myśleć o jutrze.

— To jest moja filozofia? Lecz kiedy pan myśli o jutrze?

Znowu pomyślała o Hanzie i zdawało się jej, że widzi ich oboje Barondi'ego i Hauzę, wybierających się na wielką pielgrzymkę. Wrócili z niej, może więcej wierzący, więcej fanatyczni — żeby wejść w jej życie.

— Czy pan wie — rzekła — że pan, czy coś w Egipcie ma — ma...

— Co? — zapytał z pewną obojętnością.

— Ma — dziwny wpływ, na mnie.

Zaśmiała się z trudnością i westchnęła, podczas gdy on uważnie się jej przypatrywał.

W tej chwili coś w niej walczyło, jakby małe, niespokojne stworzonko, usiłowało wydostać się z pułapki. Wprowadzenie Hanzy, w jej życie, przez Barondi'ego jakby ją zaniepokoiło.

— Ja żyję zawsze dniem dzisiejszym — ciągnęła po angielsku — to znaczy: jedzmy, pijmy, weselmy się, bo jutro.

— Jutro?

— Jutro umrzemy.

— Czy pani boi się śmierci? — zapytał.

W jego głosie była wyraźna pogarda.

— Pan — nie?

Płomień, którego przedtem nigdy nie widziała błysnął w jego oczach. Tylko od pochodni fatalizmu, taki płomień może się zapalić. Zgasł prawie natychmiast.

— Z mężczyznami mógłbym o takich rzeczach rozmawiać — rzekł — lecz nie z kobietami. Podobały się pani te listki róży?

Trzymał scyzoryk, jakby chcąc znowu jej podać.

— Nie, dziękuję, nie bardzo mi się podobają, są trochę mdłe. Usiądź Barondi!

Posłuchał jej. Zamyśliła uchwycić tego człowieka, przypadkowo coś w nim uchwyciła. Należał widocznie do typu muzułmanów, którzy gotowi są rzucić się na ostrą stal, byle posiąść rozkosze raju.

Rozleniwienie i rozmarzenie spowodowane ciszą tego pomarańczowego ogrodu, opuściły ją teraz. Fellah śpiewał znowu i znowu przypominała sobie pewien wieczór za czasów swej młodości, „Aidę" i bunt swej natury. Została za ten bunt ukaraną. Czy kara dosięgnie ją i teraz? To dziwne, że ona, która przed laty brawowała opinią świata, teraz, od czasu swego małżeństwa, miała, mimowoli, tajemne pragnienie pogodzenia się z nią. Dzisiaj w południu swego życia, czuła coś z tego, co czuła w swej młodości, kiedy poraz pierwszy, spotkała w operze człowieka, dla którego później wszystko straciła, jego gwałtowna atrakcya spadła na nią jak cios, zadany pewną ręką. Nie obezwładnił ją, przeciwnie, pobudził do nowego życia. Teraz, po latach, nowy cios w nią ugodził i znowu zapalił gorączkę, która nią owładnęła. Lecz pomiędzy tymi dwoma ciosami jaki długi okres doświadczenia i utrata dobrej opinii w świecie? szeptał jej w głębokiej ciszy pomarańczowego ogrodu ostrzegawczy głos. Pragnęła usłyszeć znowu śpiew felleha, żeby zagłuszyć ten głos złowieszczy. Lecz, kiedy śpiew się odezwał donośny i silny, wydało się jej, że ostrzeżenie zamieniło się na groźbę, że słyszy za sobą gdzieś w oddali krzyk świata, świata, który dawniej był jej światem, głoszący jej hańbę. I na chwilę, przeraziła się, jakby stanęła nad przepaścią swej zguby i patrzała w jej głębię.

Czy znowu jej żniwem będzie kara?

Lecz jaka kara może ją spotkać? Świat się jej wyrzekł, a tem samem stracił nad nią swą władzę. Nie było już nic czego by mogła się obawiać.

Wtem — Nigel stanął jej przed oczami.

W cudownym spokoju tego ogrodu nad Nilem burza w niej powstała. A Barondi siedział u jej stóp, nieruchomy, niewzruszony, wpatrując się w nią swemi błyszczącemi oczami.

— Mój mąż wkrótce powróci — nagle się odezwała,

— A ja wkrótce popłynę, w górę rzeki do Arnaut, z Arnaut do Ezruch, z tamtąd do Kom-Om-bos i Assonau.

Miała wrażenie, że czuje jak jej życie ucieka, w strony południowe, a chłód i lęk ją ogarniają.

— W Assonau jest dziewczyna podobna do pełni księżyca — szepnął Barondi.

Zrozumiała jego absolutną swobodę i uczyniło się jej gorąco. Lecz rzekła tylko z uśmiechem:

— Dla czego pan jeszcze dzisiaj nie płynie do Assonau?

— Mam czas — odrzekł — ona nie opuści Assonau, dopóki nie zechcę?

— A czy są pełnie księżyca w Arnaut, Eezuch i Kom-Ombos? — zapytała jakby z niego żartując.

— W Eezuch — nie; w Kom-Ombos nie.

— A w Arnaut?

Jakiś ostry dźwięk zakradł się do jej obojętnego głosu.

— Francuzi są w Armaut, a gdzie są Francuzi, tam są i małe kobietki.

Przypomniała sobie ładne pokoiki w Lonlii. Posiadał pływający dom pływającą wolność. W tej chwili nienawidziła dahabejah. Chciałaby żeby się rozbił na kawałki o skały Nilu. Lecz on popłynie w złote południe, podczas kiedy ona podąży na północ do namiotu w Fayum! Ledwo mogła usiedzieć na krześle.

Wzięła jedno ze srebrnych pudełek i zacisnęła na niem palce.

— Może pani pozwoli jeszcze różanej galarety?

— Nie — nie!

Puściła pudełko, które z suchym odgłosem upadło na stół.

— Pozostanę parę dni w Arnaut, gdzie mam interesa cukrowe.

— Oh! cukier! — zawołała — Mój mąż myśli, że pan zajmuje się tylko swoimi interesami lecz niech pan nie sądzi, że kobieta...

— Że kobieta — Co?

— Wiedziałam odrazu, że pan lubi przyjemności.

Wzięła znów wachlarz.

— Odrazu? Kiedy?

— Na Hohenzollernie, naturalnie.

— A ja — wiedziałem — wiedziałem...

Zatrzymał się uśmiechając się do niej.

— Co pan wiedział?

— Oh! ja rozumiem trochę kobiety — kiedy mi pozwalają. A Hohenzollernie pani mi pozwalała, czy nie?

— Nigdy nie rozmawiałam z panem sam na sam.

— To nie było potrzebne — wcale nie było potrzebne.

— Naturalnie — wiem.

Ogień ją palił, ogień retrospektywnej zazdrości, a gdy patrzyła na niego, płomień stawał się silniejszym. przenikliwszym. Taki człowiek jak ten człowiek Wschodu bez wędzidła, bez opinii publicznej, w takim klimacie — jakiem było, jakiem będzie jego życie?

Czuła nieznośną mękę, mękę już nie młodej lecz silnej i pełnej życia kobiety fizycznie zazdrosnej o młodego człowieka, do którego nie miała żadnych praw. Ach! gdyby była o dwadzieścia lat młodszą! Lecz — nawet teraz! Położyła niedbałe rękę na stole i starała się spojrzeć w lustro *toite de beaute*, które jej podarował. Wyraz oczu uderzył ją. Czy to był jej wyraz? Gdzie się podziało jej doświadczenie? Wstyd jej było siebie samej. Otwartość była bardzo dobrą z tym człowiekiem, lecz do pewnych granic. Nie powinna była ich przekroczyć, a życie które prowadziła po rozwodzie nauczyło ją, że największym *faux pas*, który zazdrosna kobieta uczynić może, to okazać swoją zazdrość. Mężowie innych kobiet wykazali jej to dostatecznie, wtedy, kiedy u niej szukali pociechy.

— Tak, pani zna mężczyzn dobrze — mówił ze spokojną pewnością, jak ktoś znający dobrze jej przeszłość. Po raz pierwszy pytanie, czy słyszał o sławnej Mr. Chepstow? czy wiedział? przyszło jej na myśl. To było możliwem, gdyż bywał w Europie, w Paryżu. Czytał po angielsku, może czytywał angielskie dzienniki.

— Czy pan kiedyś słyszał o kimś zwanym Bella Donna? zapytała powoli.

Głos jej był obojętny, lecz oczy patrzały na niego uważnie.

— Bella Donna? To musi być jakaś piękna kobieta.

— Czy pan kiedy słyszał o Mrs. Chepstow?

— Nie.

Patrzał na nią, poczem dodał:

— Kto to jest? Czy przyjedzie do Kairu w zimie?

Była pewną, że nie słyszał, lecz nie wiedziała czy ma być z tego zadowoloną. Rodzaj jej sławy mógł go pociągnąć. Chciałaby mu zadać dużo pytań o tem co myśli o kobietach. Lecz naturalnie nie powie jej prawdy i mężczyźni nie cierpią pytań kobiecych.

— Czy przyjedzie do Kairu? — powtórzył.

— Była w nim kiedyś.

— Pani jest Bella Donna — rzekł.

— Pan to powiedział?

— Tak, bo to jest prawda. Pani jest Bella Donna, lecz pani nie jest donna onesta.

Nie podniosła tej uwagi, uczynionej z prawie naiwną powagą. Była pewną, że Barondi nie będzie cenił kobiety dlatego, że jest uczciwą. I znowu zapragnęła żeby się dowiedział o jej rozgłosie, z ej opinii, która ją otaczała, była rodzajem sławy.

— W Europie nazywają mnie często Bella Donna — rzekła.

— W Europie?

— W Anglii — w Londynie.

— Mają słuszność. Będę panią nazywał Bella Donna, tutaj, nad Nilem.

Mówił to niedbale, lecz doznała przyjemnego uczucia. Jednakże nie mogła się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

— A pełnia księżyca?

— Cóż o niej?

— Czy ona jest Bella Donna?

Przymknął oczy nawpół i patrzał w dół.

— Nie pytam się, czy jest donna onesta?

— Ma lat szesnaście i jest tancerką — odrzekł.

— Rozumiem — rzekła z wysiłkiem.

Zacisnęła usta i siedziała w milczeniu, myśląc o powrocie Nigla, o swym wyjeździe z nim do Fayum, podczas gdy ten człowiek, w zbytkownym pływającym domu, uda się na południe. Postanowiła żyć dniem dzisiejszym. Lecz kiedy jakakolwiek zazdrosna kobieta żyje dniem dzisiejszym? Zazdrość zwraca się do przeszłości i przyszłości, zapytując jedną co było, a drugą co będzie? A płótna namiotu ją otoczą i staną się jej więzieniem. Po co — po co związała siebie? Miesiąc wstecz, a była zupełnie wolną, mogła płynąć w południową stronę, na Lonlii. Cała jej istota buntowała się przeciw jarzmu, które nałożyła. Lecz kiedy się odezwała, głos jej był spokojny i obojętny.

— Przypuszczam, że pan nie pozostanie na Nilu na zawsze?

Znowu jej palce zamknęły się mechanicznie na jednem z pudełek.

— Ależ nie, muszę wrócić do Assiut, a potem do Kairu, Aleksandryi, i Delty.

— A Fayum? czy pan nie ma tam jakiej posiadłości? Czy to nie jeden z najbogatszych obwodów w Egipcie?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, lekko wydymając swe pełne usta.

— Nawet gdybym mógł być w Fayum, nie myślę żeby to było bardzo dobrze — odrzekł.

Nie miał skrupułów w wyjawianiu jej wykrętów.

— Myślałam, że mój mąż mógłby skorzystać z pańskich rad, co do rolnictwa w Egipcie — odrzekła poważnie.

— Ah! to prawda. Mr. Armine potrzebuje mojej rady. Pod pewnym względem nie jest prawdziwym Anglikiem.

— To byłoby uprzejmie przybyć do Fayum i udzielić mu rad.

Pochylił się do niej i rzekł.

— Bella Donna nie jest bardzo subtelna.

— Pan przypuszcza, że subtelność jest bardzo potrzebna? — zapytała z lekkim odcieniem ironii, niewiem doprawdy na co?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Stare, oparte na doświadczeniu wiekowem i kuchennem, przysłowie, wymyślone przez jakiegoś filozofa, który miał widocznie bardzo delikatne podniebienie, powiada, że „zadużo dwa grzyby w barszcz".

Stwierdził to na sobie nasz referent kryminalny, dla którego ubiegły tydzień był wprost opłakany (a nas tydzień rozpoczyna się we czwartek, kończy we środę).

Zadaniem „Nowości Ilustrowanych" jest zaznajamianie P. T. Czytelników z senzacyjnemi wypadkami, dość się zatem biedak nabiegał, nim zebrał fotografie i wywiady w sprawie zamordowania Chwałkówny i samobójstwa Laski, a gdy się już z tem ostatecznie załatwił i sądził, że odpocznie po trudach, jak grom z jasnego nieba spada wieść o napadzie na sklep Zahna.

I to dzieje się we wtorek, gdy maszyna drukarska oczekuje już na przyjęcie w swe objęcia drugiego arkusza. Obowiązek obowiązkiem, dał więc znać nogom i dalejże w drogę. I znów nowa serya gonitw i wywiadów. Znęczył się i napracował, bardziej, niż Aida, ale też osiągnął lepszy od niej rezultat.

Obecnie odpoczywa po trudach, narzekając na ból w nogach i zdarcie ostatniej pary tak drogocennych dziś podeszew, niemniej też i na to, że Kraków europeizuje się w zbyt pospiesznem tempie. Takie dwa wypadki jak „Taniec miłości i śmierci" (Chwałkówna i Laska) oraz „Potworna zbrodnia przy ulicy Floryańskiej", jak na Kraków i na jeden tydzień, to stanowczo... dwa grzyby w barszcz.

Zwraca się zatem za pośrednictwem kronikarza do ogółu P. T. bandytów, morderców, kandydatów na samobójców i t. p., z gorącym apelem, aby na przyszłość, we własnym interesie raczyli się tak urządzać, aby na jeden tydzień przypadała co najwyżej jedna senzacya. Poza tem byłoby wskazane, aby działo się to w czasie nie tak dla Redakcyi nieodpowiednim, jak wtorek wieczór, co musi pociągnąć za sobą pewne opóźnienie w wydaniu numeru.

Czyniąc zadość życzeniu redakcyjnego kolegi, musi kronikarz, korzystając ze sposobności, dorzucić od siebie kilka uwag, głównie na temat stosunków bezpieczeństwa publicznego w Wielkim Krakowie. O upadku moralnym niektórych sfer nie chce zabierać głosu, w każdym razie stwierdza, że oba te wypadki z ubiegłego tygodnia musi się zapisać na karcie ujemnych następstw wojny światowej, która cywilizacyi i kultury nie posunęła bynajmniej naprzód, owszem, cofnęła ją o całe wieki. Takie wypadki, jak oba powyżej wymienione, przydarzały się w starym Krakowie raz na lat kilkanaście i przez kilkanaście lat z rzędu stanowiły temat rozmów i narzekań na moralny upadek ludzkości, gdy natomiast obecnie mnożą się w zastraszający wprost sposób, omawia się je zupełnie obojętnie dzień lub dwa i przechodzi nad nimi najpokojniej do porządku dziennego, czekając, co też jutro przyniesie.

Za błogosławionej pamięci austryackich czasów, których powrotu nikt nie pragnie, narzekaliśmy na warunki bezpieczeństwa publicznego i mieliśmy do tego nieraz bardzo poważne powody, w każdym razie wiedział przecież każdy, że koncentrują się one w ręku instytucyi, noszącej nazwę „c. k. Dyrekcya policyi", która, choć miała głowę zajętą głównie szpiegami i osobnikami niebezpiecznymi dla całości i potęgi babci Austryi, nie zapominała też i o drobniejszych rybkach, więcej z kodeksem karnym, niż z polityką mających do czynienia. Wiele do życzenia pozostawiała także i tak zwana „c. i k. Straż wojskowo policyjna", która, dziwoląg, zrodzony w głowach centralistów wiedeńskich, posądzających nas stale o dążności separatystyczne, nie odpowiadała bynajmniej nowoczesnemu pojęciu straży bezpieczeństwa publicznego.

Ale, mimo te mankamenty, maszyna, choć nieraz skrzypiała, funkcyonowała jako tako, obywatele spali względnie spokojnie, a wszelakiego rodzaju nieprzyjaciele porządku publicznego uważali Kraków za teren nie nadający się do rozwinięcia intenzywniejszej działalności.

Z chwilą, gdy rozpoczęliśmy samodzielny żywot i wyemancypowaliśmy się z pod opieki Wiednia, należało się spodziewać rychłej i radykalnej zmiany w tym kierunku, choćby tylko w myśl zasady, że porządek wewnętrzny jest pierwszym i głównym warunkiem rozwoju każdego, tem bardziej zaś nowo powołanego do życia organizmu państwowego. Na jego straży stoją zaś władze bezpieczeństwa publicznego, więc policya, żandarmerya i t. p. Należało się zatem spodziewać, że reforma rozpocznie się właśnie od tych władz, jako dla państwa niezbędnych.

Pokazało się przecież, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę, dostając się pod opiekę Warszawy, w której mądre głowy radzą, co prawda, nad reformami w tym kierunku, sprawy tej przecież nie uważają widocznie za dość ważną, skoro się z nią nie spieszą.

Mamy dowód na Krakowie, jakie to może i musi mieć fatalne następstwa. Urządzono wprawdzie i w naszem mieście instytucyę Policyi państwowej, mamy już Okręgowy Urząd śledczy, któremu podlega zachodnia Galicya, ale została dawna Dyrekcya policyi, o której Warszawa widocznie zapomniała, skoro funkcyonaryusze musieli się jej pamięci przypominać aż... groźbą strajku. Która zatem z tych władz, jest obecnie powołaną do czuwania nad porządkiem, tego nikt, zdaje się, że nawet i reformatorzy warszawscy powiedzieć nie umieją. Interesowane strony wychodzą na tem dobrze, ale tylko o tyle, że mają sposobność użycia wiele ruchu, co, jak wiadomo, jest dla zdrowia bardzo korzystnem i przyczynia się do wzmożenia apetytu (miła perspektywa w dzisiejszych warunkach!.. przyp. zecera). Mając coś do załatwienia, zgłaszają się według starego zwyczaju, ale tylko po to, aby się dowiedzieć, że w tej sprawie należy się zwrócić gdzieindziej...

A nikt może nie uwierzy, że n. p. Okręgowy Urząd śledczy do dnia dzisiejszego nie może się doprosić o zaprowadzenie telefonu!...

Różnego rodzaju ciemnym indywiduom bardzo to na rękę, iż w sprawach odnoszących się do porządku, nie można jakoś dojść do porządku, nie miałyby też nic przeciw temu, gdyby funkcyonaryusze policyi naprawdę zastrajkowali.

Ogół ludności jest przecież innego zdania i powiada, całkiem zresztą słusznie, że, skoro opłaca podatki, ma też prawo żądać od państwa opieki. Domaga się zatem, aby bezzwłocznie zreformowano i ujednostajniono służbę bezpieczeństwa i porządku publicznego, chaos bowiem w tej gałęzi administracyi działa bardzo zachęcająco na nieprzyjaciół porządku społecznego. Na tem, że funkcyonaryuszom Policyi państwowej przyznano bardzo piękne wynagrodzenie, skończyć się nie może, władza bezpieczeństwa, zwłaszcza w tak wielkiem mieście, jak Kraków, musi spoczywać w jednem ręku i to sprężystem, inne bowiem zadania ma przed sobą jej kierownik w Krakowie, inne zaś n. p. w Kleju lub Fucimiechu.

Im dłużej w tym kierunku panować będzie bezhołowie, tem gorzej nie tylko dla ogółu obywateli, ale i dla samego państwa, jako takie.

A, jak z zajścia przy ulicy Floryańskiej, ul. Lubicz i t. d. widzimy, bandyci mają aż nazbyt wiele bezczelności, skoro pozwalają sobie na tak zuchwałe napady w samem centrum miasta, w najruchliwszej porze, dosłownie o trzy kroki od chodnika, po którym w tej chwili przewijały się setki przechodniów.

Kronikarz, aczkolwiek nie lubuje się w lekturze kryminalnej, czytał przecież z obowiązku sprawozdania pism codziennych o obu senzacyach krakowskich, żałując przy tej sposobności, że nie istnieje już ś. p. loterya liczbowa, gdyż można było złożyć wspaniałe *terno*, które niezawodnie „byłoby wyszło".

W trzech krakowskich organach podano bowiem miejsce wypadku: Floryańska, zupełnie zgodnie, co do numeru domu panowała natomiast rozbieżność, 25, 31 i 33... Starzy loteryjaicy muszą przyznać, że terno aż się prosi!...

Poza tem uderzyło kronikarza wyrażenie, że rany na głowie Zahna i Zahnowej zadane były „jakiemś tępem narzędziem... prawdopodobnie siekierą..."

Prawda, że i siekiera może być albo ostra albo tępa, w każdym razie w pojęciu medycyny sądowej uchodzi siekiera za narzędzie ostre, a jedynie jej obuch za tępe i tak też powinny były donieść sprawozdania. Zauważył również kronikarz pewną rozmaitość w sprawozdaniach „naocznych świadków" dochodzeń policyjnych. Niektórzy z nich już we wtorek wieczór widzieli to, co się miało stać dopiero we środę rano.

Natomiast dobór tytulików przy omawianiu obu wypadków był bardzo trafny. „Taniec życia i śmierci" odpowiadał najzupełniej duchowi czasu i osobom tragedyi (Laska i Chwałkówna), gdy natomiast użycie wyrażenia „Tragedya dwojga serc", trąciłoby mocno staroświeczczyzną. Tego pierwszego tytułu używano wprawdzie stale przy podawaniu relacyi z odbytego nie tak dawno procesu Grodzkiego i Taszyckiej, nie wpłynęło to przecież bynajmniej na obniżenie zainteresowania czytającej Publiczności, która, jak doświadczenie uczy, lubuje się w artykułach ociekających krwią, a te muszą mieć bodaj efektowne tytuły.

Stwierdzono to z okazyi morderstwa Zahnów. Gdy policya złożyła wizytę pewnemu osobnikowi o dość niejasnej konduicie, nie znalazła u niego wprawdzie nic, coby stałoby w związku z dokonanym napadem rabunkowym, natrafiła natomiast u niego na szereg wycinków z gazet, z artykułami, omawiającymi włamania, rabunki, napady bandyckie i t. p. Nasuwa się zatem przypuszczenie, że indywiduum to przygotowuje się bardzo sumiennie do swego przyszłego zawodu, najpierw teoretycznie, uzupełniając lekturą „nauką poglądową", jaką dają tak zwane „dramaty detektywiczne" w naszych kinoteatrach z taką lubością przedstawiane.

Cywilizujemy się i idziemy z postępem nawet i w tym kierunku. Walka z tak wyszkolonymi fachowcami nie jest też łatwą, jeden zatem powód więcej, aby i nasze władze bezpieczeństwa publicznego stanęły raz już na wysokości swego zadania, a zależnem to jest w pierwszym rzędzie od warszawskich czynników miarodajnych. Na domorosłych Arsenów Lupine'ów potrzeba też i Sherlocków Holmesów, a dopiero wtedy będzie mógł obywatel Wielkiego Krakowa kłaść się na spoczynek bez obawy, że mu w nocy bandyta wyciągnie poduszkę z pod głowy, a potem przepadnie bez wieści, niczem... czarna perła na weselu.

Z okazyi redukowania urzędów, którą sygnalizują z Warszawy, byłoby bardzo wskazanem, aby w samej rzeczy skasować niepotrzebne, należycie zaś wzmocnić i odpowiednio uposażyć te, bez których obejść się niepodobna. Do nich zaś należy przedewszystkiem policya, niezbędna nawet w najbardziej demokratycznym organiźmie państwowym.

Grzebieniem, przeznaczonym do wyczesania niepotrzebnych urzędów jest komisya, zostająca pod kierownictwem byłego ministra Wojciechowskiego. Zabrała się już podobno do roboty, zaczynając od końca alfabetu, to jest od Ministerstwa zdrowia, w którem z piętnastu, dotychczas istniejących wydziałów, ma pozostać, jak donoszą telegramy warszawskie, jedynie dziewięć. Aby nie wzniecić paniki, że z powodu owej redukcyi wzmoże się liczba bezrobotnych (a mogliby się między nimi znaleźć bardzo łatwo i... protegowani), dodają w dalszym ciągu, że nie pociągnie to za sobą uwalniania urzędników, gdyż pozostałe wydziały zostaną równocześnie odpowiednio „wzmocnione", aby ich funkcyonaryusze nie potrzebowali narzekać na... przeciążenie pracą.

Ktoś się oburzał, że piętnaście wydziałów to zawiele na ministerstwo zdrowia, którego agendy w byłej Austryi spełniał jeden wydział w ministerstwie spraw wewnętrznych (ale też za to mieliśmy stale podczas wyborów w „zagrożonych powiatach" jakąś epidemię, co najmniej tyfus lub czerwonkę...). Narzekania te nie mają przecież uzasadnienia, zwłaszcza, jeżeli się zważy, jak ważną jest zdrowotność. Każda słabość powinna mieć swój osobny wydział, niektórym (jak n. p. megalomanii lub kołtunowi politycznemu..) zdałoby się i po dwa. Poza tem ma to ministerstwo w referacie i sprawy mieszkaniowe, jako ze zdrowiem tak kamieniczników, jak i lokatorów ścisłą łączność posiadające, a już samo wymyślanie „mnożników stałych i niestałych" z racyi wprowadzenia nowej ustawy o czynszach (w ubiegłym tygodniu weszła, niestety, w życie!...) wymaga niemało licznego i uzdolnionego (choćby z domowem wykształceniem...) personalu urzędniczego.

Nie taki zatem straszny dyabeł, jak go malują. Redukcyę urzędów się przeprowadzi, nikt przecież nie będzie miał powodów do narzekania (chyba jedynie skarb państwa... przyp. zecera).

Rugi te, jak czytamy w pismach warszawskich, przeniosły się także już i na inne ministerstwa. Podano nawet cyfrę, o jaką zredukowano personal urzędniczy, ale zapomniano dodać, co się też z tymi kilkuset „wybrakowanymi" stało, czy użyto ich do „wzmocnienia" innych urzędów, czy też puszczono na „zieloną trawę", która się już rychło pokaże, gdyż zima, widocznie litując się nad nami, pozbawionymi węgli, jest bardzo lekka. Nawet w ruski „Jordan", łączący się w naszem pojęciu stale z silnym mrozem, był z błotem.

Jeśli zatem poszli oni zupełnie w odstawkę, to kłopot z nimi będzie mieć Ministerstwo opieki społecznej, zwiększą bowiem liczbę bezrobotnych i to takich, których, z powodu braku jakiejkolwiek kwalifikacyi, trudno będzie gdzieś zająć.

Nie pozostaje zatem nic innego, jak stworzyć dla nich jakiś nowy urząd, by tam mogli znaleźć przytułek. Nowe urzędy mnożą się u nas niczem grzyby po deszczu, jeden więcej nie zrobi żadnej różnicy. — Obrano jedynie niewłaściwą porę na ową sanacyę stosunków, popsuto bowiem odnośnym osobnikom karnawał, a oni taką mieli do zabawy ochotę!...

Zwycięstwo ludu greckiego.

Zasada samostanowienia ludów o swym losie, ogłoszona przez koalicyę, głównie za inicyatywą Wilsona, zastosowana po raz pierwszy w Grecyi, odniosła zupełny tryumf. Wynik plebiscytu wypadł wprawdzie nie pomyśli koalicyjnej dyplomacyi, w którym spodziewała się zupełnie czego innego, wola ludu greckiego objawiła się przecie tak wyraźnie, że trudno się jej było sprzeciwić. Wyglądałoby to

Posądzano Konstantyna o sympatye dla mocarstw centralnych i to było powodem jego detronizacyi, a dziś te same organa prasy nawet koalicyjnej stwierdzają zgodnie, że chcąc przestrzegać ściśle neutralność Grecyi, miał nie tylko interes swego kraju na celu, Grecya była zbyt słaba, aby módz wywrzeć decydujący wpływ na bieg wypadków, nie zostawało jej zatem nic innego, jak neutralność, która jednak była nie na rękę Koalicyi, chcącej z niej zrobić punkt wyjścia dla swych operacyj wojennych na południowym wschodzie. Król, główny przeciwnik tej koncepcyi, musiał uledz. Dziś koalicya godzi się z faktem dokonanym powołania go napowrót na tron przez wolę ludu i to w najpełniejszem i najpiękniejszym tego słowa znaczeniu.



Zwycięstwo ludu greckiego: Król Konstantyn witany entuzyastycznie przez ludność Aten w dniu 20 grudnia 1920 roku.

zresztą dziwnie, gdyby ci sami, którzy tę zasadę ogłosili i uznali za najwłaściwszy sposób rozstrzygnięcia najżywotniejszych spraw, starali się ją już w samych początkach jej istnienia zlekceważyć. Z faktem dokonanym, choć kolidowało to z intencyami koalicyi, trzeba się było pogodzić. „Wielki Kreteńczyk" i „mąż opatrznościowy Grecyi", Venizelos poszedł w odstawkę, na tron wrócił król Konstantyn, zepchnięty z niego przez tego właśnie polityka, który widocznie nie liczył się z duchem panującym w kraju.

Protest koalicyi przeciw wynikowi plebiscytu i powrotowi króla Konstantego na tron, uważać też należy jedynie za formę, której musiano się chwycić celem ratowania powagi własnej zaangażowanej głównie dzięki dyplomatycznym intrygom Venizelosa.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma donieśliśmy o prawdziwie tryumfalnym powrocie króla Konstantyna do kraju i entuzyastycznem powitaniu go przez ludność stolicy, dumną z odniesionego zwycięstwa, zamieszczona w niniejszym numerze illustracya stwierdza, że w opisach, podanych przez pisma codzienne, nie było bynajmniej przesady. Lud grecki w sposób niedwuznaczny dał wyraz uczucia dla swego władcy, a temsamem i dla prowadzonej przez niego polityki.

Choć niemieckiego pochodzenia, sympatyzuje przecież król grecki z polityką koalicyjną, czego dał dowód w swej mowie, wygłoszonej bezpośrednio po powrocie do Aten. To jego stanowisko każe się spodziewać, że Grecya może odegrać bardzo wybitną rolę przy uporządkowaniu spraw zwłaszcza na Bałkanie. W ścisłym sojuszu z Rumunią, utrwalonym jeszcze przez podwójne małżeństwo w rodzinach królewskich, staje się Grecya i bez Venizelosa bardzo ważnym czynnikiem politycznym na południowym wschodzie Europy.

Lud grecki zwyciężył, daj Boże, byśmy mogli to samo powiedzieć i o górnośląskim...

Ćwierć wieku w służbie Sztuki.

Zygmunt Wierciak, artysta malarz, dekorator teatru m. im. J. Słowackiego, po ukończeniu szkoły realnej, wstąpił do krakowskiej Akademii Sztuk pięknych, gdzie był celującym uczniem profesorów: Wyczółkowskiego, Unierzyckiego i Axentowicza. Akademię skończył z dwoma medalami: brązowym i srebrnym i pierwszemi odznaczeniami konkursowemi za akt i kompozycyę. Był ulubieńcem Stanisława Wyspiańskiego i J. Fałata. Następnie wyjechał do Wiednia na dalsze studya, poczem wymalował kilka kościołów w Kongresówce i w Galicyi wschodniej. Przez czas ten wolne chwile poświęcił dla dekoracyi teatralnej. Był uczniem Jana Spitziara i po nim objął stanowisko, które godnie i dumnie strzeże. Pracy tej właśnie 25-lecie obchodzi. Jeszcze ćwierćwiecze naprawdę chlubne i pełne poważnego dorobku artystycznego pod każdym względem. Zacząwszy od dyrekcyi Pawlikowskiego, aż po dzień dzisiejszy pracuje dla sceny krakowskiej. I dumnym być może. Za nim ogrom pracy i sukcesów, a talent jego, z łaski Bożej, stawia go dziś w rzędzie najtęższych dekoratorów polskich. Jubilat tem się nie chwali, a będąc z natury skromnym, nie-



Ćwierć wieku w służbie Sztuki: Art. malarz Zygmunt Wierciak, dekorator krak. Teatru im. Słowackiego.

chętnie nawet o sobie mówi, a szczególniej drażliwy na reklamę — nie dba o nią — jeżeli powie, to: dlaczego oni mnie reklamują, przecież nic takiego nie namalowałem? To co zrobiłem, każdy potrafi, albo: No, tak, coś się tam udało, ale ktoś inny przez... przez pomyłkę skorzystał. Mnie to jednak nie interesuje.

Przed wojną w miarę czasu i możności obsyłał wystawy swojemi płótnami w Krakowie, Lwowie. Warszawie, w Secesyi wiedeńskiej i w Ameryce. Kilka jego obrazów zdobi dziś salony w Polsce. Mało wystawia, ale dzieła jego są rzeczami skończonemi. A kto nie pamięta jego „Grunwaldu", który namalował w 14 dni mając lat 23. Kolosalny obraz o poprawnym rysunku, ogromnej plastyce i ułożeniu masy. Takie rzeczy może tylko talent wielki. Krytyka podniosła wartość dzieła. Obecnie obraz ten wielkości 8×4 metry jest własnością Sokoła w Tarnobrzegu. Wogóle, jeżeliby przyszło zestawić pracę jubilata z okresów samodzielności



Ćwierć wieku w służbie Sztuki: Dekoracya do sztuki Szukiewicza „Ruiny" pendzla Z. Wierciaka.



Ćwierć wieku w służbie sztuki: Pejzaż Z. Wierciaka „Brzozy nad wodą".

artystycznej, to trzebaby co najmniej wątpić, że człowiek o takiej pracowitości nawet, może w tym czasie takiego ogromu pracy dokonać. Znany on też jest jako karykaturzysta. Szczególnie sceny z życia „naszych kmiotków“. Ma też szerokie koła miłośników i nabywców na swoje dzieła. W pracowni zaś swojej, o ile wolno uchylć tajemnicy rąbek, ma kilka dzieł rozpoczętych. Między temi cykl 12 obrazów p. t. „Największa zbrodnia narodów“, który ma skończyć zamiar przy wolnym



Ćwierć wieku w służbie Sztuki: „Dwór w Smoniowicach“ pendzla Z. Wierciaka.

czasie. Na zapytanie dlaczego obecnie nic nie wystawia? — odpowiada: Pewno, że może gorsze rzeczy widzi się na obecnych wystawach — studya, studya, a żadnych obrazów, ale jeżeli ja zrobię wystawę moich prac, to na nich będę miał odwagę się podpisać. Nie spóźnię się. Duch mój ma lat 20 i ciałem czuję się również nie starzej, a wolą niebiosa przebiję i piekło nawrócę. Rzeczywiście, kto zna jubilata bliżej, inaczej o nim powiedzieć nie może. Pracowitość niezmożona. Zawsze uśmiechnięty. Zawsze dla wszystkich chętny i uczynny. Zawsze dla wszystkich, a nigdy dla siebie. Wierny jednak, że do parnasu dojść musi drogą talentu i pracy, czego Mu wszyscy z całego serca życzą.

Małopolskie Towarzystwo Kresów Pomorskich w Krakowie.

Od roku już przeszło działa w Krakowie Małop. Tow. Kresów Pomorskich mające na celu utrzymanie stałego moralnego związku głębi kraju z Pomorzem. Na czele Towarzystwa stoi honorowe Prezydyum w osobach p. Henrykowej Sienkiewiczowej i prof. dr. Kazimierza Morawskiego, prezesa Polskiej Akademii, prezesem czynnym jest niżej podpisany, I szym wiceprezesem i sekretarzem ks. pastor Michejda, II-gim mecenas dr. Zakrzewski, a do zarządu należą najwybitniejsi ludzie w naszem mieście. Towarzystwo urządzało w ubiegłym roku wiece w sprawie pomorskiej, koncert kompozytorski Feliksa Nowowiejskiego, kilka szeregów odczytów, stara się o umieszczenie wieści z Pomorza w naszych gazetach, zbiera wszelkie wiadomości z Pomorza, utrzymuje stały związek z pomorskiem województwem itd. Prezes bawił w letnich miesiącach na Pomorzu, gdzie miewał po wsiach i miasteczkach odczyty dla ludności świeckiej i żołnierzy na tematy historyczne i z zakresu obowiązków obywatelskich. Ponieważ na Pomorzu jest zupełny brak książek polskich, więc Towarzystwo zajęło się zbieraniem książek wszelkiego rodzaju, byle tylko pożytecznej, uczącej treści, choćby nawet niepotrzebnych podręczników szkolnych, książeczek dziecinnych czy „starych kalendarzy“, czasopism itd., które będzie odsyłać osobnym posłańcem na Pomorze. Książki można oddawać od 9-tej do 13-ej w biurze Tow. Szkoły Ludowej przy ul. św. Anny, gdzie mieści się też biuro Towarzystwa i gdzie można wpisywać się na członków za uiszczeniem wkładki 15-tu marek rocznie. Obecnie działalność Towarzystwa, wobec innej ważnej i bliższej nas sprawy, mianowicie plebiscytu Śląska nie może być zanadto ruchliwa, ale po plebiscycie przyjdzie zapewne do połączenia się wszystkich kresowych towarzystw i do gorliwszej jeszcze pracy.



Małopolskie Towarzystwo Kresów Pomorskich w Krakowie: „Dworek nad strumykiem Karlik“ na przedmieściu Sopot Karlikowo gdzie w czasie pokoju oliwskiego mieszkał król Jan Kazimierz i Marya Ludwika.



Ćwierć wieku w służbie Sztuki: Obraz Matki Boskiej pendzla art. mal. Z. Wierciaka.

Załączamy tu kilka widoczków z Pomorza, wykonanych ze zdjęć mec. Bernarda Chrzanowskiego z Poznania, znanego badacza Pomorza.

Ks. dr. Tadeusz Kruszyński



Małopolskie Towarzystwo Kresów Pomorskich w Krakowie: Nad Lisim Jarem pod Rozewiem.



Ćwierć wieku w służbie Sztuki: Kompozycye illustracyjne Z. Wierciaka

Rozwiązanie zagadek z Nru 3

Okienko: Kałka, ławka, agawa.

Zadanie do uzupełnienia: Na Nowy Rok przybywa dnia na zajęczy skok.

Rebus: Skąpiec często chowa pieniądze, a jednak bez nich wchodzi na mary

Grzebieniówka: Śliwa, w, Ilmen, e, Tyber, y, Marek, i, Kanin, o Łucya, a, Jasło.

Zadanie do przestawienia: Asan, Uskoki.

Zadanie na rozsypane litery: Głodnemu chleb na myśli.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Kozłowski Sambor, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów J. Opolski Łódź, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, M. Sochacka Kraków, J. Bielawski Rzeszów, M. Kozłowski Sambor, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Grabowski Wadowice, J. Jabłoński Lublin, J. Weber Kraków, S Sygowska Rzeszów, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, W. Rozwadowski Poznań, M. Wacyk Lwów, M. Więckowski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów. M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, K. Lipski Wiedeń, M. Mańkowska Warszawa, K. Wacławik Łódź, S. Balicki Radom. W. Raczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Antosz Lwów, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Martynowicz Kielce, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Polek Lwow, S. Nowacki Lwów, S. Sokołowski Lwów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Opolski, Łódź (książka), 2) W. Rozwadowski, Poznań (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki „Nowości" p. t.

„Józia — legionistka".

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie belletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, rodaj myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miru z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru.— Wydawnictwo „Biblioteka Nowości" ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistka".

Cena egzempl. 15 mrk., z przes. poczt. 17 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych", Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95



Nożowcy krakowscy przy robocie: Zwłoki p. Władysława Kuternogi. zamordowanego podczas bójki przy ul Lubicz. Zdjęcie fot. Okręgowego Urzędu śledczego Policyi państwowej.

Od Redakcyl.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zgłoskówka.

Ułożył J. Cis..., Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę a otrzyma się rozwiązanie:

Szczęka, oślica, Rewera, Gopło, Kowno, wezyr, sago, korona, pokusa.

Zagadka literacka.

Ułożył J. M., Lublin.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z gory na dół, utworzą nazwę pory roku

Fredro ?
Krasiński ?
Pol ?
Słowacki ?

Łamigłówka literacka.

Ułożył R. S., Sanok.

Do pod nego dodać następny wiersz i odgadnąć, z którego pochodzą utworu:

„Patrzą a tu przez rzekę leży most kosmaty".

REBUS.



Logogryf.

Ułożył S. Kubicki, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy znane przysłowie:



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Doplyw Wisły, 3 Miasto w Rosyi, 4. Miejsce święte dla Turków, 5. Miasto w Galicyi wschodniej. 6. Taniec, 7. Rodzaj gleby. 8 Wyspa na morzu Sródziemnem, 9. Miejscowość w Galicyi środkowej 10. Owad dokuczliwy 11. Góry w Grecyi, 12. Znany minerał 13. Okres czasu, 14. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 „Czerwona ma a" (powieść ; 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.